

Lektura z opracowaniem

Henryk Sienkiewicz

Latarnik



Henryk Sienkiewicz Latarnik

Czas akcji – około 1871 r.

Miejsce akcji – mała, skalista, bezdrzewna wysepka, na której zbudowana została latarnia morska. Przesmyk Panamski – niedaleko portu Aspinwall (dziś Colón).

Narracja i narrator

- Narrator jest 3-osobowy, wszechwiedzący.
- W opisach bohatera stosuje zarówno **charakterystykę bezpośrednią** (mówi wprost o cechach Skawińskiego), jak i **pośrednią** (jego uczuć i cech czytelnik domyśla się po opisie zachowań).
- Wcześniejsze zdarzenia, epizody z życia Skawińskiego przedstawia za pomocą **retrospekcji**.
- Narrator stosuje **stylizację językową** – w rozmowie kwalifikacyjnej, którą przeprowadza ze Skawińskim konsuł Izaak Falconbridge, stosowane są wyrażenia pochodzące z języka angielskiego.
- Narrator ma dużą wiedzę geograficzną i biologiczną – zna topografię opisywanych miejsc, występujące tam gatunki roślin i zwierząt. W paru kwestiach się myli (np. marabut umieszcza w amerykańskim lesie tropikalnym, choć są to ptaki żyjące w Afryce).

Bohaterowie – jeden czy wielu?

- Jest nim tytułowy latarnik, ale tak naprawdę ta jedna postać skupia w sobie losy wielu ludzi.
- Po pierwsze losy wielu polskich emigrantów tułających się po całym świecie.
 - Po drugie – w znaczeniu ogólniejszym – losy potomków mitologicznego Odyseusza, czyli bohaterów pokonujących przeciwności losu.

Plan zdarzeń

Zamyka się zaledwie w kilku punktach:
1. Zwolnienie się posady latarnika na wyspie niedaleko Aspinwall.

2. Objęcie posady latarnika przez Polaka – Skawińskiego.
3. Codzienne życie latarnika.
4. Niespodziewana przesyłka.
5. Pograżenie się Skawińskiego w lekturze *Pana Tadeusza*.
6. Zwolnienie Skawińskiego z pracy w latarni.

Latarnik jako gatunek literacki = nowela

Dowody:

Jeden wątek!

Los polskiego emigranta Skawińskiego.

Jeden bohater!

Skawiński.

Jedno miejsce akcji!

Wysepka niedaleko portu Aspinwall.

Główny motyw, wątek, oś kompozycyjna (tzw. sokół noweli)!

Latarnik – zawód, który miał przynieść Skawińskiemu spokój i wyciszenie, a obudził wyciszone uczucia do ojczyzny.

Wyraźne części noweli!

Ekspozycja – zarysowanie sytuacji i przedstawienie wcześniejszych losów Skawińskiego; **zawiązanie akcji** – objęcie posady latarnika przez Skawińskiego, **rozwiązanie akcji** – życie Skawińskiego na wyspie, **punkt kulminacyjny** – lektura *Pana Tadeusza*, **rozwiązanie akcji** – zwolnienie Skawińskiego z funkcji latarnika.

Mocna, wyraźna puenta!

Odzyskanie siły duchowej i... ojczyzny (w książce).

Dodatkowa wiedza (niewynikająca bezpośrednio z tekstu)

Jako 30-latek Henryk Sienkiewicz wyjechał (1876 r.) do Stanów Zjednoczonych. Ponieważ był dziennikarzem (miał pseudonim Litwos), przysyłał z Ameryki reportaże do warszawskiej prasy, m.in. do *Gazety Polskiej* (wychodzącej w cyklu *Listy z podróży do Ameryki*). Niektóre obserwowane zdarzenia były natchnieniem dla jego nowel (tak powstał m.in. *Latarnik*).

Śmierć pracownika aptecznego

Zagadkowe otrucie znalezione w łóżku farmaceuty, który chciał wrócić do Polski.

John Biggio, pracownik apteki dra R.B. Wilsona, ul. Leoparda nr 166 1/2, przyszedłszy do sklepu wczoraj rano, by zastąpić swego kolegę, Mieczysława Siellawę, zdziwił się, że sklep nie został otwarty, choć było daleko później od zwykłej godziny otwarcia. Wiedząc, że Siellawa spał w pokoju na tyle sklepu, Biggio wszedł do korytarza i głośno zapukał do drzwi, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zajrzał więc w okno od podwórza i zrozumiał przyczynę milczenia pracownika. Siellawa leżał w łóżku martwy. Biggio natychmiast zawiadomił właściciela, który od razu otworzył sklep, zbadał zwłoki zmarłego, lecz nie znalazł niczego, co wyjaśniałoby przyczynę śmierci. Sędzia śledczy Wollman zlecił zbadanie pośmiertne swemu zastępcy, który orzekł, że zgon nastąpił niewątpliwie wskutek otrucia kwasem pruskim. Nic nie wskazywało na samobójstwo. Siellawa pochodził z Polski, miał lat 38, posiadał dobre wykształcenie i mówił kilkoma językami. Przybył on do Ameryki przed około 15 laty i w październiku 1872 otrzymał od zarządu aptek w Nowym Jorku świadectwo jako farmaceuta-asystent. Pracę u dr. Wilsona dostał w kwietniu 1875 i od tej chwili miał stanowisko kierownika sklepu przy ul. Leoparda. List w języku polskim, przytoczony niżej, widocznie przeznaczony dla przyjaciela, znaleziono w kieszeni zmarłego.

New York 23 listopada

Drogi Antoni,

Dużo czasu upłynęło od chwili, gdy otrzymałem Twój list. Pisząc obecnie, będę czekał odpowiedzi wyjaśniającej, jak stoją sprawy. Pracuję w aptece i chciałbym wiedzieć, czy nie wiodłoby mi się lepiej z Tobą. Tutaj nie mam żadnych szans. Krótko mówiąc, donieś mi, jak Ci się powodzi i czy Twoje sprawy układają się dobrze. Ja chciałbym wrócić do własnego kraju i tam skończyć swoje dni. Posyłam Ci swój adres

M. Siellawa

Dr Wilson zawiadomił wczoraj sędziego, że Siellawa zażywał morfinę i że wziął przypadkiem nadmierną dawkę we wtorek wieczorem.

Oryginalny tekst notatki prasowej, która ukazała się drukiem w dzienniku *The New York Times* z 23 listopada 1876 r.

Notatka informuje o zagadkowej śmierci polskiego aptekarza. Imię i nazwisko denata: Mieczysław Siellawa

Wykonywany zawód (stanowisko): farmaceuta (kierownik apteki)

Wiek: 37 lat

Przyczyna śmierci: otrucie morfiną

Związek z *Latarnikiem* Henryka Sienkiewicza

Aptekarz Siellawa był pierwowzorem bohatera noweli Sienkiewicza. Napisał o nim potem Julian Horain w warszawskiej *Gazecie Polskiej* (artykuł przytoczony dalej), a Sienkiewicz skorzystał z niektórych elementów tej historii i wykorzystał je w opowieści o polskim emigrancie Skawińskim.

Uwaga! Dziennikarska forma! Cechy notatki prasowej:

■ Zawiera tytuł: *Śmierć pracownika aptecznego* (mają go wszystkie formy dziennikarskie).

■ Zawiera lead, czyli krótkie zdanie wprowadzające w tekst: *Zagadkowe otrucie znalezione w łóżku farmaceuty, który chciał wrócić do Polski* (w bardzo krótkiej notatce lead nie musi występować).

■ Pełni funkcję informacyjną (przedstawia informacje o zdarzeniu – tajemniczej śmierci polskiego aptekarza w Nowym Jorku).

Uwaga! Notatka o śmierci Siellawy jest dość długa. Z powodzeniem można ją zastąpić krótszą. Jeśli chcecie poćwiczyć pisanie przed testem egzaminacyjnym, macie świetną okazję. Spróbujcie zrobić notatkę o połowę krótszą, a potem jeszcze krótszą (mała podpowiedź: z całą pewnością do wyeliminowania jest przytoczony list). A może zorganizujecie konkurs na najlepszą notatkę – wygra ten, kto zmieści jak najwięcej informacji w jak najkrótszej formie.

Kilka miesięcy po notatce, którą wydrukowano w dzienniku *The New York Times*, polski korespondent Julian Florian Horain (od 1871 r. wraz z rodziną przebywał w Stanach Zjednoczonych, a w czasie podróży Henryka Sienkiewicza do Ameryki był jego przewodnikiem) umieścił w warszawskiej *Gazecie Polskiej* historię Siellawy, którego – jak twierdził – znał osobiście. Artykuł Horaina tym różnił się od notatki z *The New York Times*, że nie skupia się na samej śmierci polskiego aptekarza, lecz próbuje odtworzyć jego życie. Co Siellawa robił do roku 1848 – nie wiadomo. Ale na pewno można stwierdzić, że był człowiekiem głęboko skrzywdzonym przez władze rosyjskie. Skrzywdzonym psychicznie, ponieważ nękało go przeświadczenie, że jest ścigany. Dlatego w roku 1848 opuścił Europę i rozpoczął wieloletnią podróż po całym świecie (Przylądek Dobrej Nadziei, Madagaskar, Australia, Ameryka Południowa, Środkowa i Północna). Za swój najszczęśliwszy okres uważał kilka lat spędzonych w Panamie, gdzie pełnił funkcję latarnika na wyspie niedaleko Colon-Aspinwall. Jego spokój zakłócała niespodziewanie przesyłana z książkami. Pewnego dnia tak zczytał się w jednej z nich, że zapomniał zapalić latarnię. Za niedopełnienie obowiązków został wyrzucony z pracy. Wyjechał do Nowego Jorku, gdzie pracował jako aptekarz. Wzmagała się mania prześladowcza była powodem jego bezsenności. Był lepiej spać, Siellawa zamyślał morfinę. Któregoś razu przedawkował, co było przyczyną zażucia i śmierci. Co to była za książka?

Nie Pan Tadeusz jak w *Latarniku* Henryka Sienkiewicza, lecz *Murdelio* Zygmunta Kackowskiego – popularna w tym czasie powieść o miłości, której akcja toczy się w latach konfederacji barskiej (XVIII w.).

J. Horain Listy z Kalifornii XIX, Gazeta Polska nr 32, 1877

Gazety nowojorskie doniosły o śmierci ziomka naszego, Siellawy, niegdyś obywatela gub. witebskiej. Poznałem go osobiście w czasie pobytu w Nowym Jorku, przeto mogę udzielić kilku szczegółów z jego życia i jeden psychologiczny. Śp. Siellawa (nie wiem, jakie miał imię chrzestne) był człowiekiem wysoko ukształconym, prawy i szlachetny. Miał wszakże jedną dziwną monomanię: wszędzie, gdziekolwiek przebywał, zdawało mu się, że go ścigają, ściga i prześladowa jeden z rządów europejskich. Stąd też nigdzie nie mógł zagraść na długo miejsca, a nawet z nikim utrzymać trwałych stosunków przyjaznych. Zdarzało się często, że po kilka miesięcy nie pokazywał się żadnemu z ziomków i zwykle nie wiadomo, gdzie mieszka. Gnany myślą, że go ścigają i prześladowa, po opuszczeniu Europy (zdaje się w r. 1848) zwiedził Przylądek Dobrej Nadziei, Madagaskar, Australię, Amerykę Południową, Środkową i nareszcie Stany Zjednoczone.

Powiadał mi nieraz, że za najszczęśliwsze chwile swojego życia uważa te parę lat, które przebył na miedzymorzu Panamie, spełniając obowiązki strażnika latarni morskiej przed Colon-Aspinwall. Obowiązkiem jego było o każdej szóstej godzinie zapalać lub gasić latarnię. Mieszkał o 10 mil od brzegu, sam jeden wśród morza na samotnej skale, której przez 26 miesięcy nie opuszczał. Co dwa tygodnie przywożono mu żywność (niekiedy żywe ptactwo lub barana, gdyż w tym klimacie mięso świeże pół dnia nie da się przechować). Raz mu przysłano pakę z gazetami i książkami polskimi – i to go wyгнаło z samotnego rajku, w którym żył najszczęśliwiej, bez Ewy i węża, jak się sam wyrażał. W liczbie przysłanych książek była powieść Zygmunta Kackowskiego *Murdelio*. Otóż w pewnym mglistym dniu Siellawa tak się zaczytał przy lampie w owej powieści, że wiecznym prawem zapomniiał zapalić lampę latarnianą. To zmyliło z drogi jakiś okręt i o mało nie stało się powodem rozbicia. Zaskarżono strażnika i Siellawa stracił miejsce. Odtąd zmieniał się książkami, a każdego, którego podejrzewało o złe względem siebie zamiary, nazywał „Murdelio”. Przysłał zaś książkę przypisywaną intrzydzie caratu.

W Nowym Jorku pracował po aptekach. Ciępił bezsenność, używał morfiny czy innego jakiegos niebezpiecznego lekarstwa i tym się podobno otrul. Dopiero w kilka dni po jego śmierci ziomkowie dowiedzieli się o tym i pospieszyli pochować.

LATARNIK

Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Horain w jednej ze swych korespondencji z Ameryki.

I Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tym prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędzej obsadzić, ponieważ latarnia niemal ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów idących z New Yorku do Panamy. Zatoką Moskity obfituje w piaszczyste lawice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowym słońcem wodach, prawie nie podobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków była światła latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następnie trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; po wtóre, następnie musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; na koniec, w ogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie uśmiecha się rozpróżnianym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przywozi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, po czym przywoźący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morze rozległości, nie ma nikogo. Latarnik mieszka w latni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniami różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że chcąc się dostać z dołu do ogniska na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać te podróże czasem i kilka razy dziennie. W ogóle jest to życie klastorne, a nawet więcej niż klastorne, bo pustelniczym. Nic też dziw-

Julian Florian Horain – polski dziennikarz emigrant. W roku 1877 przysłał do *Gazety Polskiej* historię Siellawy – aptekarza, który otrul się w Nowym Jorku.

Miejsce akcji: skalista wysepka w pobliżu miasteczka Aspinwall (dziś Colon), nad Zatoką Moskity (Morze Karaibskie – Ocean Atlantycki) – jeden z wysuniętych punktów Przesmyku Panamskiego; przeciwnym punktem jest Panama leżąca nad Oceanem Spokojnym. W najwyższym miejscu Przesmyku Panamskiego mierzy 47 km, które trzeba było pokonać statkiem. Na początku XX w. zbudowano tam Kanał Panamski.

Wprowadzenie w akcję: zwalnia się posada latarnika (stary pracownik latarni gdzieś zaginął, prawdopodobnie spadł ze skały w czasie sztormu i utonął), pilnie potrzeba nowego pracownika latarni.

Znaczenie latarni w Aspinwall było ogromne – bez niej praktycznie niemożliwe byłby rejsy na trasie Nowy Jork – Panama oraz miejscowe polowy rybackie. Dno zatoki pokrywały bowiem piaszczyste mielizny, a nad wodą unosiły się gęste mgły.

Warunki zatrudnienia określił konsul Stanów Zjednoczonych – Izaak Falconbridge – przebywający w Panamie. Kandydat na latarnika miał być człowiekiem sumiennym, spokojnym, statecznym, odpowiedzialnym, słow-

nym, obowiązkowym, cierpliwym, pracowitym. Praca latarnika bowiem tylko pozornie wydawała się łatwym zajęciem.

Specyfika pracy latarnika

Idealny latarnik powinien mieć usposobienie długetniego więźnia, który dostosował się do warunków życia i ani myślał o ucieczce. Musiał rezygnować z życia towarzyskiego i mieć świadomość, że jest niezastąpiony. Mieszkał w swym miejscu pracy – w latarni na bezludnej malej wysepce. Tylko w niedzielę mógł za dnia opuścić latarnię i popłynąć do Aspinwall. Na co dzień dostarczano mu pożywienie i wodę.

Obowiązki latarnika

W ciągu dnia wywieszał flagi w kolorach odpowiadających pomiarom wskazywanym przez barometr, a przed nocą zapalał światło latarni. Musiał być człowiekiem silnym, gdyż kilka razy dziennie do pokonania miał ponad 400 krętych i wysokich schodów.

Ochotnik do pracy

Pojawił się, o dziwo, bardzo szybko. Był to starszy, okolicieśniedziesięcioletni, ale wysportowany, zdrowy mężczyzna, którego ruchy i postawa zdradzały doświadczenie wojskowe. Miał siwe włosy, śniadą, opaloną cerę. Jego twarz wzbudzała zaufanie, choć rysowały się na niej smutki, troski, przegrzebienie. Niebieskimi oczyma i jaśniejszą kamacją różnił się pod względem etnicznym od miejscowej ludności. Jak się okazało, człowiek ten był Polakiem od wielu lat latującym się po świecie. Główną przyczyną zainteresowania posadą latarnika była chęć odpoczynku, potrzeba wyciszenia się, oderwania od ludzi i świata. Nazywał się Skawiński. Jego przeszłość potwierdziła przypuszczenia amerykań-

nego, że Mr Izaak Falconbridge był w niemalym kłopotcie, gdzie znaleźć stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najnie spodzianiej następcą zgłosił się jeszcze tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiedziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną jak u Kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przynębią i smutną, ale uczciwą. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyczławić, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

– Skąd jesteście?
– Jestem Polak.
– Coście robili dotąd?
– Tułałem się.
– Latarnik powinien lubić siedzieć w miejscu.
– Potrzebuję odpoczynku.
– Czy służyście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?
Stary człowiek wyciągnął z zanadta spłowiwały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwy. Rozwinął go i rzekł:
– Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biegałem w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów – więc oto papier.
Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.
– Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwy zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!
– Potrafię być i sumiennym latarnikiem.
– Treba tam co dzień wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?
– Przedszedłem piechotą „pełny”.
– *All right!* Czy jesteście obeznani ze służbą morską?
– Trzy lata służyłem na wielorybniku.
– Probowałście różnych zawodów?
– Nie nazełem tylko spokojności.
– Dlaczego?
Stary człowiek ruszył ramionami.
– Taki los...
– Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy.
– *Sir* – ożwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. – Jestem bardzo znużony i skolatany. Dużo, widzieć, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgorzej przagnęłemu otrzymał. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będiesz siedział, to

jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzyć. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonię... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość mam tego tułactwa... Niebieskie oczy starca wyrażały tak gorącą prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony. – *Well!* – rzekł. – Przyjmuję was. Jesteście latarnikiem. Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.
– Dziękuję.
– Czy możecie dziś jechać na wieżę?
– Tak jest.
– Zatem *good bye!*... Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisję.
– *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę miedzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmięrczu, nowy latarnik widocznie był już na miejscu, bo latarnia zruściła, jak zwykle, na wody swoje sny jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, wierzającą koło księżycą wielki, zabarwiony tęczowo krag o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przytłum wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do małego, czarnego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Człowiek coś takiego, co czuje szczyty zwierzy, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napłynęło jakąś niewysłowną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale po prostu urządzić dawne tułactwo, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzucała od chmur na dno morza, w który biła fala, pluła pianą – a który jednak zawałnął do portu. Obrazy tej burzy przesuwały się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspominał jednak o tytułach innych przygodach. Miał on nieszczęście, że ilekroć rozbilił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić na stałe, jakiś wiatr wyrwał koki namiotu, rozwinął ognisko, a jego samego niosł na straconie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto był się w czterech częściach świata – i na tułaczce próbował wszystkich niemal zawa-

skiego konsula. Skawiński faktycznie był żołnierzem. Medale i dokument, które posiadał, poświadczają jego udział w wielu wojnach:

- w latach 1830 – 1831 (powstanie listopadowe, w wyniku którego emigrował);
- wojna domowa w Hiszpanii w latach 1833 – 1840 o następstwo tronu;
- służba w Legii Francuskiej (walka Francji o kolonię algierską);
- udział w walkach o odzyskanie niepodległości przez Węgry (Wiosna Ludów – lata 1848 – 1849);
- wojna secesyjna (po stronie Północy przeciw południowcom – lata 1861 – 1862).

Argumenty za przyjęciem Skawińskiego:

- Umiejętność poświęcenia się, oddania idei (potwierdzone odznaczeniami w wielu bitwach).
- Cechy charakteru – sumiennosc, uczciwość, łagodność, szczerość, bezpośredniość, prostolinijność.
- Dobry stan zdrowia (zdrowe nogi wyćwiczone długim marszem przez amerykańskie płeny – równiny, stepy między Nowym Jorkiem a Kalifornią).
- Doświadczenie w pracy na morzu (3 lata pracy na statku do połowu wielorybów).
- Znużenie aktywnym życiem – chęć odpoczynku, osiedlenia się w cichym, spokojnym, bezludnym miejscu.

Pierwszy wieczór pracy – chwyt kompozycyjny. Opis wieczornego pejzażu na wyspie oddany jest za pomocą wielu epitetów – (noc) spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa (a więc gorąca). Mgła spowijająca latarnię i świa-

to odbijające się w wodzie daje wrażenie tańca wszystkich tęczyowych barw. Taka atmosfera jest świetną okazją do wspomnień, dzięki którym poznajemy skrót niemal całego życia Skawińskiego, który był:

- kopaczem złota w Australii,
- poszukiwaczem diamentów w Afryce,
- strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich,
- farmerem w Kalifornii,
- handlarzem,
- kowalem w Helenie, w Arkansas,
- majtkiem na statku kursującym między Bahią i Bordeaux,
- harpunikiem na wielorybniku,
- właścicielem fabryki cygar w Hawanie.

Gdziekolwiek się ruszył i jakkolwiek podjął pracę, zawsze spotykały go jakieś nieszczęścia. Często były to klęski żywiołowe (susza zniszczyła mu farmę, pożar – warsztat kowalski). W okresie handlowania z mieszkańcami buszu brazylijskiego nie udało mu się przeprawić przez Amazonkę i musiał walczyć o przetrwanie w niebezpiecznym, podzwrotnikowym lesie. Przeżył niewiele z Indian, kilka katastrof na statkach, zdradę przyjaciela – współnika w interesach, ciężką chorobę (malarię). Mimo przeciwności losu zawsze postępował uczciwie i szlachetnie. Gdy w czasie choroby na malarię groziła mu śmierć, nie myślał o sobie, lecz o innych chorych – uratował im życie, rezygnując ze swoich porcji chininy.

Z pracą w latarni Skawiński wiązał wiele nadziei – że wreszcie zakończy tułaczędość, osiedli w jednym miejscu, wyciszy się i uspokoi, odpocznie po wielu trudach życia. Poza tym

dów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem diamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii farmę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wnętrza Brazylii: trawia jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się w lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczę drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkansas, i – spalili się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach Skalistych dostał się w ręce Indian i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku kursującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawanie – został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na „vomito”. Wreszcie przybył do Aspinwall – i tu miał być kres jego niepewności. Cóż go bowiem mogło doświadczyć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrzych niż złych.

Zdawało się natomiast, że przesładują go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tym objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tym mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiadał, że to idzie stamtąd... Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne, i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indianina i wielką spokojność siły oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które mu ukazywano jako środek ratunku, i krzyżeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i nieszczęściu. Łaził pod górę tak pracowicie jak mrówka. Zepchnięty sto razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególny dzwiatek. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiając sobie ani grama. Było w nim jeszcze i to dziwne, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, że jeszcze wszyst-

ko będzie dobrze. W zimie ożywał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Cekał ich niecierpliwie i myślał o nich żył lata całe... Ale zimy miały jedno z drugimi i Skawiński doznał się tylko tego, że ubieśli mu głowę. Wreszcie zezarzał się – począł tracić energię. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejsza do rezygnacji. Dawny spokojny żołnierz jał przetrzącać się w bekse, gotowego załazić się z łada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tukał go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała łada okoliczność: widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Na koniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl spoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tułacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jakiś spokojny kąt, w którym by mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dlatego, że szczególnie jakieś dziwactwo losu rzuciło nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największym ludzkim szczęściem jest – tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tym, jak w ogóle ludzie marzą o czymś niedoścignionym. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem niespodzianie w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godzinę jedną za drugą spływały mu na balkon. Patrzył, nasycał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze, bo północ wybiła już na aspinwallskich zegarach, a on jeszcze nie opuszczał swojej powietrznej wyżyny – i patrzył. W dole pod jego stopami grało morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokągi światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale daleko zdawała się biegać kąt światła. Długie wiorstowe fale wytaczały się w ciemności i ryczały aż do stop wysypki, a wówczas widać było spienione ich grzbiety polyskujące różowo w świetle latarni. Przypłyły wzmacniał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośnie, podobna czasem do huku armat, do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmąconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło. Potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień, potem jakieś łkania – i znów

wydawało mu się, że praca ta będzie szczęśliwym przełomem jego pechowego losu. Tu poczuł się bezpiecznie – wierzył, że nic złego już go nie może spotkać.

Uczucia Skawińskiego – radość, spokój, poczucie bezpieczeństwa, euforia, błogość, szczęście, komfort psychiczny.

Zwróć uwagę:

- Na porównanie Skawińskiego do okrętu (taka metafora dość często wykorzystywana była przez poetów i pisarzy).
- Na metaforę o namiocie (ludy koczownicze jako mieszkanie używały namiotów – symbolu ich tułaczki).
- Na podobieństwo losu Skawińskiego do losów postaci z literatury starożytnej (mitologiczny Syzyf i Homery Odyszeusz).

Cechy Skawińskiego:

pracowity, uczciwy, zaradny, samodzielny, przedsiębiorczy, aktywny, uparty, wytrwały, silny psychicznie, opanowany, cierpliwy, psychicznie, prawy, wyjątkowy, prostolinijny, szlachetny, szczerzy, honorowy, dumny, odporny na trudy życia i przeciwności losu, wrażliwy, uczuciowy, dobry, prostacki, skromny.

Opis sztormowego pejzażu

Uwaga! Personifikacja natury! Zwróćcie uwagę, że fale „ryczą”, „idą”, ocean „mówi”, „wzdycha”, „lka”, morskie bałwany „skaczą z wściekłością”, „obliżują pianą”, sztorm „wyje”. Z tym żywym i groźnym stworem, jakim jest ocean, muszą walczyć wszyscy ludzie, którzy w tej chwili przebywają na statkach i okrętach. Skawiński zaś ukryty w latarni nie doświadcza tego, co w kość swojsko, miło i bezpiecznie.

Tryb życia latarnika

Kolejne dni i tygodnie w życiu latarnika stały się monotonne, jednostajne, podobne do siebie. Spokojna praca powoduje przemianę Skawińskiego. Wprawdzie po tylu zmaganiach z losem Skawiński w końcu może odpocząć i wyciszyć się, ale praca ta przynosi też i niepokojące objawy, których sam Skawiński nie dostrzegał, a które zauważyli inni ludzie. Stary latarnik stał się posępny i zamknięty w sobie oducie, a latarnia niemal jego grobem. Stopniowo tracił umiejętność komunikowania się z ludźmi. Ciągłe kontemplowanie natury spowodowało, że stała się ona dla Skawińskiego jedynym światem, w którym czuł się dobrze. W normalnym, ludzkim świecie nie potrafił się już odnaleźć, ale nie ubolewał nad tym, a wręcz przeciwnie – czuł się szczęśliwy, bo praca w jego samotni dala mu równowagę, spokój i bez troskę. Uluźnionym Skawińskiego było obserwowanie z balkonu latarni morskich pejzaży, które za każdym razem wprawiały latarnika w zachwyt. Codziennie przed południem obserwował zagłówek, statki, parowce płyną-

groźnie wybuchy. Wreszcie wiatr zwił mgle, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynano dąć coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, obliżując już pianą i podmurawiano. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabyło kilka zielonych latek powieszonych do masztów okrętowych. Zielone owe punkciuki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwilały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyc. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury i tylko miarowe tik-tak zegara kołysało utrudzonego starca jakby do snu.

II

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozkulkane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morską może tak wołać, to być może, że gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tym miłsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosabniać, jakby w przecieczu grobu. Latarnia była już dla Skawińskiego takim pół-groblem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie godzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człkiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czym styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zwartych, określonych kształtów. Niebo – to jeden ogół, woda – to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którym myśl jest raczej ciągłym zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nie, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny jak dwa paciorki w różu i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak kochał tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świątami, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem siadł na balkonie, wpatrywał się w dal morską i ocy jego nie mogły się nigdy nasyć obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymim, turkusowym tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno,

że aż oczy mrużyły się pod nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedno za drugim, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy pióropusz dymu. To parowiec z New Yorku wioził podróżnych i towary do Aspinwall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński jak na dłoni Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domki i wieżeczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a domki poruszali się jak małe punkciuki na białym, kamiennym bulwarku. Z rana lekki wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina sjeści. Ruch w porcie ustawał; mowy kryły się w szczybie skąd, fale słaby i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na ładzie, na morzu i na latarni nastawała chwila niezamąconej nicości. Żółte piaski, z których odpływały fale, lśniły na kształt złotych płam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękit. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc, pełna słodyczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnym szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dla czegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy? Czas upływał i utrwalał go w tym przekonaniu. Stary żył się z wieżą, z latarnią, z urwiskiem, z ławicami piasku i samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w zalamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykłe resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptastwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadzała na piasku. W nocy, przy świetle księżycy i latarni, chodził na ryby, którymi roily się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skalę i swoją bezdrzewną wyspę, porośniętą tylko drobnymi, tustymi roślinkami, sączącymi lepki żywice. Ubóstwo wysypki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe między morze aż do Pa-

ce po morzu, ruch w porcie Aspinwall (ludzi, ich domy, drzewa bananowe i cytrusowe). W samo południe krajobraz wyciszał się – ludzie udawali się na spoczynek, panowała absolutna cisza, a na morzu niemal bezruch.

Zwróć uwagę!

Na kolorystykę morskich krajobrazów. Morze kojarzy się z błękitem, jednolitym pejzażem. Ale Sienkiewicz potrafił nasyć ten morski krajobraz również innymi kolorami. Olbrzymie, turkusowe tło (niebo), białe żagle, czerwone beczki, szarawy dym wydobywający się z parowców, żółty piasek, a wszystko tak oświetlone słońcem, że aż sprawiające wrażenie polyskującego złotem.

Uczucia Skawińskiego po kilku miesiącach pracy: szczęście, zadowolenie, poczucie bezpieczeństwa, spokój, radość, komfort psychiczny, rozanielenie, rozmarzenie, ufność w zmianę losu, w łaskawość Boga.

Skawiński a przyroda

Skawiński pokochał otaczającą przyrodę. Zaprzyjaźnił się z ptakami, które jak oswojone przylatywały całymi stadami na czas karmienia. Umiał korzystać z darów morza – po przypływie zbierał małże, nocą łowił ryby. Jego wyspa była skalista i bezdrzewna, ale przy dobrej pogodzie miał okazję obserwować najprawdziwszy las podzwrotnikowy – pelenian, egzotycznych roślin, mały papug. Przypominał sobie także i tę przyrodę, która teraz pozostawała w bezpiecznej od niego odległości. Pamiętał dni i noce spędzone w puszczach. Widział węże, jadłowite pajaki, gwizdki, krokodyły. Przemierzał niebezpieczne trzaskawiska, gdzie każdy krok stanowił zagrożenie dla życia. Nocą słyszał głosy

dzikich zwierząt – wyjów i jaguarów. Te wszystkie niebezpieczeństwa były daleko za nim. Tu, w jego łatach oddalonej od ładu stałego, nie mu nie mogło grozić. Miko było podziwiać drapieżność, a zarazem piękno natury z daleka, z bezpiecznej odległości.

Dzień wolny

Dniem wolnym od pracy była niedziela. Wtedy nie wypływały w morze kutry, statki transportowe i parowce. Skawiński mógł więc w ciągu dnia opuścić wyspę. Ubrał się wtedy w odświętne stroje i ruszał rankiem do miasta. Tam brał udział we mszy, co wzbudzało szacunek mieszkańców miasteczka, akceptujących i szanujących starego latarnika. Niedziela była też dniem poświęconym na lekturę prasy. Skawiński skrupulatnie przeglądał jedną z gazet hiszpańskich oraz *Heralda* – popularny dziennik nowojorski wychodzący od 1835 r. Poszukiwał w nich informacji o Europie i o opuszczonej ojczyźnie – Polsce (w tym czasie – pod zaborem!). Człowiekiem, z którym Skawiński lubił rozmawiać, był jeden ze strażników przywiozących żywność – Johns. Ale po jakimś czasie Skawiński przestał wychodzić z latarni na pogawiedki. Nie pokazywał się też w mieście, nie interesował się niczym, co działo się ani w świecie, ani w jego ojczyźnie, ani w Aspinwall.

Poczucie jedności z przyrodą

Życie z ludźmi zaczęła zastępować Skawińskiemu przyroda. Było w tym coś niepokojącego, czego latarnik nie zauważał. Życie w harmonii z naturą przerodziło się w coś więcej. Skawiński czuł, że wracał w tę przyrodę, że jest jej częścią. Czuł też, że przyroda jest czymś żywym, co ma duszę.

cyfury, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz układały się jakby w przepyszne czubiate bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwalli. Dalej, między Aspinwall a Panamą, widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwony opar wyiewów – las prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, opłataną lianami, szumiącą jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł dojrzeć nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug wzbijające się czasem jak tęcza chmura nad lasem. Skawiński znalazł z bliska podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce, błąkał się całe tygodnie wśród podobnych zielonych sklepień i gąszczów. Wiedział, ile pod cudną, śmiejącą się powierzchnią krywa się niebezpieczeństwo i śmierć. Wśród nocny, jakie w nich spędził, słyszał z bliska grobowe głosy wyjów i ryki jaguarów, widział olbrzymie wieże kołyszące się na kształt lian na drzewach; znał owe sennie jeziora leśne, przepelnione drzewami i rojace się od krokodyli. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczech, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których mrowią się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadłowite pajaki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; toteż tym większą mu teraz sprawowało rozkosz patrzeć z wysokości na owe młodości, podziwiać ich piękność, a być zaskończonym od zado. Jego wieża chroniła go przed wszelkim złem. Opuścił ją też tylko czasami w niedzielę z rana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzikami, na piersiach zawieszając swoje krzyże i jego mleczną głowę podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak Kreole mówili między sobą: „Porządne mamy latarniki”. „I nie heretyk, chociaż Yankee!” Wracal jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczęśliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał stalemu łańdowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub new-yorskiego „Heralda”, pożyczanego u Falconbridge’a – i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce! Na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli było jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu co dzień żywność i wodę, przybyła do wyspy, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziwiał. Przystał bywać w mieście, czytać gazety i schodzić na poli-

tyczne rozprawy Johnsa. Upiływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności pozostawianej na brzegu i światło latarni, zapalone co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starych i kończył się na jego wysepce. Zżył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci, i po prostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przy tym stał się mistykiem. Łagodne, niebieskie jego oczy poczęły być jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego poczał stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć jakoby osoba, a zlewiał się coraz więcej z tym, co go otaczało. Nie rozumował nad tym, czuł tylko bezwiednie, ale w końcu zdawało mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote lawice piasku, i wydęte żagle, i mewy, odpływały i przypływały, to jakaś wielka – jedno – i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrążył się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i kości się. Zato nał, ukochał się, zapamiętał – i w tym ograniczeniu własnego, odrębnego bytu, w tym półczuwaniu, półśnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do półśmierci.

III

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywoziła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zeszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka wieży. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres „Skawiński Esq.”, wypisany na grubym żaglowym płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzal i położył na powrót, przy czym ręce poczęły mu drżeć mocno. Przyslonił oczy, jakby im nie wierząc; zdawało mu się, że śni – książka była polska. Co to miało znaczyć? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula „Heraldzie” o założeniu polskiego Towarzystwa w New Yorku i że zaraz przysłał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensji, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród

Uwaga! Trudny termin: panteizm! To pogląd religijno-filozoficzny, utóśsamiający Boga z przyrodą, traktujący naturę jako coś żywego, myślącego, rządzącego się własnymi prawami. Tak właśnie przyrodę zaczął pojmować Skawiński.

Przełom – dostawa z paczką

Pewnego dnia, odbierając przesyłkę z żywnością, Skawiński zauważył na brzegu wyspy jeszcze jedną paczkę. Zdziwił się tą przesyłką adresowaną właśnie do niego (Skawiński Esq. – esquire – tytuł grzecznościowy pisany na listach po nazwisku adresata). Jeszcze bardziej zdziwił się jej zawartością. Okazało się, że w środku są książki.

Skąd przysłała?

Skawiński nie pamiętał, że kiedy zaczął pracę w latarni, przez jakiś czas wysłał połowę swego wynagrodzenia na potrzeby polskiego towarzystwa patriotycznego działającego w Nowym Jorku (od roku 1870 faktycznie istniał związek Zjednoczenie Polaków skupiający emigrantów, którzy osiedlili się w Stanach Zjednoczonych). W podjęcie za finansowe wsparcie Skawińskiego przysłało polskie książki.

Opis uczuć w momencie otrzymania książek: zaskoczenie, oszołomienie, niedowierzanie, zawstydzenie, rozczulenie, wzruszenie, ciekawość.

Najważniejsza księga

To oczywiście *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza – święta księga wszystkich Polaków, a szczególnie emigrantów. W *Latarniku* nie pada tytuł ani autor. Wiadomo – to cady zabórów, cenzury, ale każdy Polak doskonale wiedział, o jaką księgę chodzi. Potwierdzają to zresztą cytaty przytoczone przez Sienkiewicza.

Również Skawiński skojarzył autora. Jego utwór czytał już w roku 1830 w Paryżu. Potem walczył w Hiszpanii, nie miał do czynienia z książkami, ale słyszał o rozgłosie, jakim cieszył się polski poeta. Minęło już 40 lat, odkąd Skawiński opuścił kraj (jest więc około 1870 – 1871 r.). Był tak daleko, prawie zapomniany o ojczyźnie, tymczasem ona przyszła do niego w tej nadesłanej księdze. Wzruszony Skawiński wziął się do głośnej lektury *Pana Tadeusza*. Sprzyjała temu wczesna godzina (siedemnasta), spokój, jaki panował na wyspie, tworzący się uroczysty nastrój. Opis uczuć w czasie lektury *Pana Tadeusza*.

Przydatne sformułowania:

Ze wzruszenia zabrakło mu głosu./ Głos uwiązł mu w krtani./ Odczuwał ścisł skądś./ Nie mógł wykrzusić słowa. Tekst rozmyślał mu się przed oczyma./ Nic nie widział. Słyszał bicie własnego serca./ Serce kołatało mu jak oszalałe./ Serce podeszło mu do gardła. Nie mógł (nie był w stanie) się opamiętać./ Stracił kontrolę nad swoimi uczuciami./ Nie mógł pohamować swoich uczuć. Łkał/ płakał/ szlochał jak dziecko./ Nie mógł powstrzymać łez. Wezbrały w jego duszy hamowane uczucia: tęsknota do ojczyzny, miłość do niej; tłumiona pamięć o ziemi rodzinnej. Z bezsilności rzucił się na ziemię. Nie widział, co się dzieje dookoła. Tekst inwokacji rozbudził w nim wspomnienia, obudził go do życia, przypomniał o ojczyźnie. Po wstrząsie, jaki doznał, powoli przychodzą opamiętanie i uspokojenie. W jego oczach odbijało się natchnienie.

jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś łchnienie dawnych czasów, cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak oym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że gdy je otworzy, sen zniknie. Nie! Rozciąta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzył: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, walcząc w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturczym życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tym większą też skwapliwością i z tym żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczyna się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary aspinwallskie wybiły piątą po południu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pawiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale za ledwie belkotały z cicha, rozplywając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwalli i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyste a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć: Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie! Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie... Skawińskiemu zabrakło głosu. Litera poczęła mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło na kształt fal od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ścisłając za gardło... Chwila jeszcze, opanował się i czytał dalej: Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem! Jak mnie, dziecko, do zdrowia powrócił cudem (Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę I zaraz mówięiesz do Tych świątyni progu Iść, za zwłoczone życie podjękować Bogu), Tak nas powrócił cudem na Ojczyznę lono...

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego mleczne włosy zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego – przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika; na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna! We łkanu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierna miłość, przy której wszystko jest niczym... On po prostu tym wielkim płaczem przepraszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z samotną skalą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz „wracal cudem” – więc się w nim serce rwało. Chwile miały jedną za drugą: on wciąż leżał. Mewy przyleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziobać lekko i furkotat skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł budziły go. Wypłakawszy się, miał teraz w twarzy jakiś spokój i rozpoznanie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się znowa za miedzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku, w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej: Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych... Zmierzył dopiero zatarł literę na białej karcie, zmierzchnął krótki jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skalę i przytmknął oczy. A wówczas „Ta, co jasnej bronisz Częstochowy”, zabrała jego duszę i przeniosła „do tych pól, malowanych zbrojem rozmaitym”. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stromemu kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, za belkotały literki rodzinne. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: „Pamiętasz?”. On pamiętał a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykłe jego latarnia rozświecała ciemności morskie – ale teraz on jest we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy przesuwają się przed jego oczyma szybko i trochę beładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dziećmi; ale zresztą wie, jakby ją wczoraj opuszczał: szereg chałup ze świetłkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmienie całą noc chórami żab. Niegdyś

Doznania i uczucia wywołane lekturą *Pana Tadeusza*: ogromne wzruszenie, nostalgia, tęsknota za ojczyzną, miłość do kraju, wstrząs psychiczny, żal, smutek, cierpienie.

Pod koniec lektury: spokój, wyciszenie, szczęście, radość.

Wielka rodzina Skawińskiego

Polozona była pośród sosnowych lasów, małych rzeczek, które wily się po jego ukochanych rodzinnych stronach. We wspomnieniach, które ogarnęły Skawińskiego, nie widział domu rodzinnego zniszczonego w czasie wojny ani rodziców, którzy zmarli, gdy był małym chłopcem. Doskonale pamiętał natomiast wszystkie chatki i krajobraz dookoła wsi – jakby żywcem wyjęty z opisu w *Księdze VIII Pana Tadeusza* (młyn, dwa stawy, rehotanie żab). Potem Skawiński wspomina swą ułańską służbę (Tadeusz z epopei Mickiewicza też był ułanem!). Obrazy polskiej ziemi Skawińskiemu mieszały się podświadomości z przyrodą na jego wyspie z latarnią. Mgła nad łąkami jest jak ocean, odgłosy ptaków (derkacy, bąków, żurawi) kojarzą się z mewami, szum lasu sosnowego brzmi jak szum fal morskich.

Przebudzenie

Mającącego o ojczyźnie Skawińskiego budził nad ranem strażnik Johns. To on uświadomił latarnikowi, co się zdarzyło tej nocy.

Skutki zachowania latarnika

Latarnia nie zabłysła tej nocy światłem, nie oświetliła drogi płynącej z San-Geromo łodzi. Nikt nie utonął, ale Skawiński nie dotrzymał warunków umowy, złamał regulamin pracy, nie sprawdził się jako latarnik. Za tę niesubordynację i brak odpowiedzialności zostaje dyscyplinarnie zwolniony.

ny z posady latarnika. Skawiński wyjechał z Aspinwall, prawdopodobnie do Nowego Jorku. Wiadomość tę bardzo głęboko przeżył, ale nie załamał się. Odtąd pociechą miała być dla niego książka Adama Mickiewicza.

Definicja ojczyzny i narodu

Zwróćcie uwagę na ostatnie słowa noweli Sienkiewicza. Skawiński przyciskał mocno książkę w obawie, „by mu i ona nie zginęła”. Zauważcie, że słowa te nawiązują do naszego dzisiejszego hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy”.

Te słowa stworzone przez żołnierza Legionów Polskich Józefa Wybickiego zanim stały się naszym państwowym hymnem, były pieśnią wielu emigrantów, którzy nie mogli zostać w rozbiorowej Polsce. Polacy rozsiani po całym świecie wierzyli, że chociaż ich kraju nie ma na mapach, pozostał w sercach patriotów. Dzięki Panu Tadeuszowi ojczyzna obudziła się też w sercu Skawińskiego, który uwierzył, że jego naród istnieje, dopóki będzie o tym pamiętał.

W następnym numerze...
opowiadania Hemingwaya:

- *Stary człowiek i morze*
- *Stary człowiek przy moście*

w tej swojej wiosce stał nocą na widcie, teraz przeszłość ta podstawa się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ulanem i stoi na widcie: z dala karczma pogląda płonącymi oczyma i brzmi, i śpiewa, i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i basetli: „U-ha! U-ha!”. To ulany krzeszą ognia podkówkami, a jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzcinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morską. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty do chaty; wraz i żurawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ulanowi jakoś rzeško, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójda inni, z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc blednie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj jedyna, jedyna!

Cicho! Czujna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

– Hej, stary! wstawajcie. Co to wam? Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu widzeń walczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bledną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

– Co to? – pyta Johns – chorzyście?

– Nie.

– Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem, nikt nie utonął; inaczej, poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie. Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni. W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku idącego z Aspinwall do New Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po łąkach i morzach, by się nad nim znęcać do woli. Toteż stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylał; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła...